

## Mundial pod blokiem

Moje dzieciństwo to piłka nożna. Pod blokiem, przed szkołą, za sklepem. Z kolegami w dwudziestu, w czterech, we dwóch jeden na jeden, samemu o ścianę. Nie było boisk i bramek, były asfaltowe place i trawniki. Słupki z plecaków czy kurtek, więc i częste kłótnie o to, czy bramka była czy może jednak nie. Decydowała determinacja w głosie, czasem lekkie rękoczyny, ale generalnie znaliśmy naszą hierarchię siły i szacunku. W moim małym bloku mieszkało 13 chłopaków kopiących, w sąsiednim podobnie. Graliśmy między sobą mecze blokowe, osiedlowe derby. Między klasami mecze klasowe - VI a z VI c. Wszystko spontanicznie, umawialiśmy się bez telefonów, nikt nie nagrywał żadnych filmików, nie robił zdjęć. Bez trenerów, sędziów i korków. Zwykle trampki, tenisówki. W bloku tylko trzech z nas miało normalną piłkę. Lata 80-te, trudne czasy końca komuny. Od rodziców tych trzech zależało, czy wyjdą oni na dwór (zabór rosyjski, więc nie na pole i nie na plac), a jak nie wyjdą, to od ich humoru, czy pożyczą nam piłkę, abyśmy zaraz potem mogli zetrzeć ją na szorstkim asfalcie, razem z tymi tenisówkami i swoimi kolanami. Co roku od marca do października strupy, strup na strupie. Przypadłość sezonowa. Jeśli nie mieliśmy futbolówki, graliśmy zieloną piłeczką do tenisa ziemnego. Mała, ale tania i super poprawia technikę. Dwóch najlepszych dobierało sobie składy na zmianę, aby były wyrównane. Taki osiedlowy rynek piłkarzy. Każdy znał każdego dobre i słabe strony. Najsłabsi stawali na bramce, najlepsi w ataku. Ktoś gdzieś słyszał o naborach do Motoru Lublin czy Lublinianki, ale dla nas to był wirtualny świat. Real Madryt odbywał się za blokiem, skąd przeganiała nas sąsiadka nie mogąc znieść hałasu lub sąsiad - obrońca trawników. Jeśli nie mecz to gra w jedno podanie, w kwadraty bądź w dupca. Po tej ostatniej przegranej stawał tyłem i wypinał, a każdy z 2 metrów strzelał piłką z całej siły w jego pośladki. Stąd nazwa i uczucie pieczenia. Dziś byłoby to chyba nielegalne. Czasami wybita szyba w mieszkaniu lub witryna w sklepie kończyły grę przed czasem. My w ogóle nie mierzyliśmy czasu. Graliśmy, kto pierwszy strzeli 20 bramek, a potem zmiana składów i tak do zmierzchu. Tylko kiedy kilka matek wyszło na balkony z krzykiem "obiad", to zespoły schodziły na godzinną przerwę.

Potem był rok przełomu, TVP zakupiła licencje, do Polski wskoczył Michael Jordan i nocne finały NBA, zrobiono na osiedlu dwa kosze i porzuciliśmy futbol dla koszykówki. Pozostało kibicowanie. Czytanie dzienników od końca, telegazety strona 300 i dalej, analiza tabel ligowych od hiszpańskiej i angielskiej po belgijską i rosyjską. Kibicowanie z emocjami rozpaczy lub ekstazy, które jednak cieszą się, że już osłabły.

Tu łązy, tam ryk. Pierwsze zapamiętane mistrzostwa świata - Meksyk '86. W wielkim finale Argentyna wygrywa z Niemcami. Jedną z bramek strzela Karl-Heinz Rummenigge, mój pierwszy ulubieniec, chyba tylko ze względu na brzmienie nazwiska. Mam w pamięci obrazek, jak czytam o tym meczu w gazecie siedząc w drewnianym wychodku z ogromnymi szparami światła u babci na wsi za stodołą. Mam 8 lat. Tyle mojego chłopięcego szczęścia. Dziś emocje we mnie mniejsze i lekka irytacja, że wokół tak wielkie, napompowane, ale niech już będzie. Wspomnijcie proszę tylko w przerwie dzisiejszego meczu o Olegu Sentsovie, ukraińskim reżyserze, który prowadzi głodówkę w rosyjskim łagrze, aby uwolniono jego rodaków. Rosja to wielki kraj, stadiony nie muszą przesłaniać obozów karnych. Jest wiele miejsca, wiele. W naszych głowach i w sercach.

8.09.2018